

# **Tęsknota**



Małgorzata Borkowska OSB

# Tęsknota

opowieść  
o Magdalenie Mortęskiej



TYNIEC

WYDAWNICTWO BENEDYKTYNÓW

*Ilustracje:*  
Bogumiła Czepiel OSB

*Opracowanie graficzne:*  
Jan Nieć

*Imprimi potest:* Opactwo Benedyktynów  
L.dz. 231/2019, Tyniec, dnia 14.10.2019  
† o. Szymon Hiżycki OSB, opat tyniecki

Wydanie pierwsze – Kraków 2019

ISBN 978-83-7354-948-7

© Copyright by Małgorzata Borkowska OSB  
© Copyright by Tyniec Wydawnictwo Benedyktynów  
ul. Benedyktyńska 37, 30-398 Kraków  
tel. +48 (12) 688-52-90, tel./fax: +48 (12) 688-52-95  
e-mail: [wydawnictwo@tyniec.com.pl](mailto:wydawnictwo@tyniec.com.pl)  
[zamowienia@tyniec.com.pl](mailto:zamowienia@tyniec.com.pl)  
[www.tyniec.com.pl](http://www.tyniec.com.pl)

*Druk i oprawa:*  
Tyniec Wydawnictwo Benedyktynów  
[druk@tyniec.com.pl](mailto:druk@tyniec.com.pl)

# SPIS TREŚCI

Pokrzywno. . . . .	7
Grabowo . . . . .	15
Podkomorski dwór . . . . .	27
Mortęgi . . . . .	39
Chełmno . . . . .	49
Dylematy prawne i praktyczne . . . . .	65
Ksieni i jej wspólnota . . . . .	79
Toruńskie tarapaty . . . . .	89
Perypetie z Regułą . . . . .	99
Taki prosty świat . . . . .	111
Trudne zjednoczenie. . . . .	121
Coraz szersze kręgi . . . . .	133
Bydełko na błotach i wielka polityka . . . . .	145
Szczera reforma w ekspansji . . . . .	157
Między Toruniem a Nieświeżem. . . . .	169
Głowa prawnicza . . . . .	185
Namiot przy rynku . . . . .	193
„Kajetan” w Polsce. . . . .	207
I od początku... I znowu... . . . . .	213
Zbysławek i Poznań, i jeszcze Lwów . . . . .	225
Stary znajomy na papieskim tronie . . . . .	239

Fundacje i fundamenty. . . . .	.255
Panna Orzelska w akcji – i dużo spraw świata . . . . .	.263
W drogę, w drogę . . . . .	269
Batalia o serce mniszki. . . . .	285
Biskup, ale nie ten . . . . .	299
Konflikt jarosławski . . . . .	307
Na horyzoncie Sandomierz – i seminarium . . . . .	.319
Ksiądz Śliwski w Rzymie . . . . .	.325
Sandomierz: od komedii do tragedii . . . . .	.331
Causa bynajmniej nie finita. . . . .	.343
Marszałkowa zmienia front . . . . .	.353
Przedwczesne Te Deum . . . . .	.359
Wciąż nie do zbliżenia? . . . . .	369
Schizma cicha i schizma krzykliwa. . . . .	379
Ostatnia fundacja i niedoszła śmierć . . . . .	387
Wojna widziana z oddali . . . . .	.401
Wojna widziana z bliska . . . . .	.415
Oto mam, czego pragnęłam. . . . .	427
A potem... . . . . .	.435

# Pokrzywno

W izbie dziecinnej pokrzywińskiego zamku gwar był jak zwykle pod niebiosa. Starościąt było czworo, więc i nianiek cztery, a wszystkie języczne; nad burczenie ich pogwarek, albo i kłótni, wzbijał się pisk dzieciarni. Ochmistrzyni Katarzyna, wchodząc, stwierdziła już pierwszym spojrzeniem, że ani jedno z sześciu wrzecion nie jest w ruchu.

Niańki poodkładały swoje i uganiały się, jedna za Ludwiczkiem, który właśnie, jadąc okrakiem na patyku z wyrzezaną z grubsza końską głową, mniejszym patykiem zaatakował kota. Druga za tym kotem. Trzecia za jakimiś szmatkami, potrzebnymi właśnie dziewięcioletniej Hanusi, która zamiast prząść stroiła lalkę. Czwarta, nie wiadomo już po co, także była w ruchu. Ośmioletnia Zosia usiłowała pomagać Hanusi, a trzyletnia Magdusia wlaźła pod ławę, bo jej się wydawało, że z dziurki pod ścianą wyjrzała mysz. Słowem, Sodoma i Gomora, zdaniem jejmości. Po wyrażeniu tego zdania przyszedł czas na inne, równie oczywiste: – Hanusia nie wie, że czas już iść rządzić? Hanusia sama ani trzech łokci dzisiaj nie uprzędkła, a teraz ma służebne sprawdzać przy pracy?

Hanusia już to słyszała wiele razy, ale nie miała nic przeciw temu kazaniu: to był zawsze wstęp do długiej wędrówki po zamku przy pani Katarzynie, co było niewątpliwie cie-

kawsze od kądzieli. W dodatku tym razem ochmistrzyni zabrała także Zosię – i jej już czas zacząć się przyuczać – a zawsze, co cztery oczy, to nie dwa, spostrzeżeń będzie więcej. W izbie dziecinnej zostały cztery niańki i dwoje dzieci, wrzeczona zafurczały... języki, prawda, także. Magdusia wylazła spod ławy i przytuliła się do Agaty. Była jeszcze tak mała, że w fałdy spódnicy niańki mogła się cała zawinąć i bardzo jej tu było dobrze.

Panią matkę, wiecznie słabującą, dzieci widywały rzadko; pana ojca prawie nigdy. To jejmość Katarzyna i niańki dawały im na co dzień serdeczną pieśczętę i równie serdeczne nagany. Pięcioletniego Ludwiczka straszono już wprawdzie preceptorem z jego księgą i różgą, ale na razie właśnie tylko straszono. Lata całe miały jeszcze upłynąć, zanim wejdą w świat dorosłych, oglądany na razie z daleka.

Dwie niańki znowu się pokłóciły. Trzecia powiedziała: – E, dałybyście spokój... Lepiej zaśpiewajmy co. Będzie przynajmniej nabożeństwo. – I z niewiadomej przyczyny nagle Magdusi strasznie się spodobało to słowo: nabożeństwo. Musiała je już słyszeć wcześniej, ale teraz jakby światło się zapaliło, jakby jej powierzono jakąś cudowną tajemnicę. Właściwie nawet nie była pewna, co ono znaczy, ale było cudowne, cudowne, radość. Wysunęła się z fałd spódnicy niańki jakby przez kogoś zawołana; stanęła na środku izby i zaczęła tańczyć, pośpiewując: – Nabozieństwo... nabozieństwo... – Agata zawołała na nią: niech się lepiej uczy pieśni – i radość zgasła. Pozostała tęsknota.





*Radość zgasła, pozostała tęsknota*

Ta radość dopadała ją później czasami; rzadko, zawsze na krótko i nigdy na zawołanie. Kiedyś zimowym wieczorem wymknęła się Agacie i natychmiast zabłądziła na ciemnych korytarzach; nagle otworzyły się z boku drzwi do jakiejś jasno oświetlonej komnaty, i zamiast strachu, że ją znajdą tam, gdzie być nie powinna, przeszła ją znowu na chwilę ta sama radość, żywa i wzywająca, tym razem ze szczególną mocą. Jakby ta Radość sama cieszyła się, że ją wzywa. Mała cofnęła się w mrok, i kiedy przeszedł służący, którego pan starosta po coś właśnie posłał, próbowała po raz drugi wejść w to światło i radość, ale gdzie tam: było już tylko światło świec i kominka, nic więcej. Pozostawało znowu tęsknić i czekać.

Nigdy o tym nikomu nie wspomniała: to był tajemny układ między nią a Radością.

No i były problemy. Z niektórymi zwracała się do nianki, z niektórymi do brata. Bo starszy. Wprawdzie starszy był tylko o dwa lata, ale ona przecież nie umiała jeszcze liczyć. – Ludwisiu... co to znaczy „ja”? Rok po pierwszym „spotkaniu” z Radością, to jest w roku Pańskim 1558, straciła matkę. Mogłoby to nie zawążyć bardzo na trybie życia dzieciarni, gdyby pan starosta Melchior z Mortęg ożenił się szybko znowu, jak to wówczas prawie wszyscy wdowcy robili. Byłaby nowa starościna pokrzywińska – jakież to dwór bez pani? Ale on nie chciał. Czy dlatego, że po Kostczance nie wypadało mu brać byle kogo, czy że kandydatki nie widział – albo może i widział, ale mu odmówiono? – już dziś nie zgadniesz. Dość, że rozdysonował wszystko inaczej. Syna (z najętym już preceptorem i sługami) wysłał jakiś czas później na nauki do Wiednia, gdzie było słynne nowe kolegium jezuickie. (Tamże później uczył się powinowaty, Staszek Kostka.) Dworem pokrzywińskim, jak za czasów nieboszczki, rządziła ochmistrzyni. Z córek Hanusię i Zosię jegomość posłał na naukę do panien norbertanek w kujawskim Strzelnie, który to klasztor nie wymarł był, jak tyle innych, na żadną zarazę i słynął z pięknego śpiewu i dużej liczby uczennic. Nie o ścianę to, z Pokrzywna na Kujawy, ale dwa najbliższe żeńskie klasztory, chełmiński i toruński, były podówczas niemal puste i częściowo w ruinie. I wreszcie Magdusię, czteroletnią, oddał na wychowanie swojej siostrze Reginie, blisko, bo tuż za Wisłę, do Topólna. Tak miało im wszystkim upłynąć najbliższe osiem lat.



*Ludwisiu ... co to znacy „ja”?*

Rada nianiek – jak drwiąco mawiano w Pokrzywnie – także się rozpadła. Agatę posłano z obu starszymi panienkami do Strzelna, żeby miał im kto włosy czesać i trzewiczki wiązać w tej klasztornej szkole. Resztę zatrudniono gdzie indziej; którą do szycia, którą do mleczarni, jak wypadło. A był zamek starostów pokrzywińskich krzyżackiej jeszcze budowy, dla komtura tamtejszego stawiany; z dwoma dziedzińcami: jeden ciasny w Wysokim Zamku, drugi ogromny w Niskim, oba otoczone piętrowymi gmachami z cegły. A jeszcze trzeci dziedziniec na podzamczu. W Wysokim były mieszkania państwa i domowych urzędników, i służby; zbrojownia, spichrze, stajnie, *scriptoria* starościńskie, tuż i kaplica i kapelańska stancja.

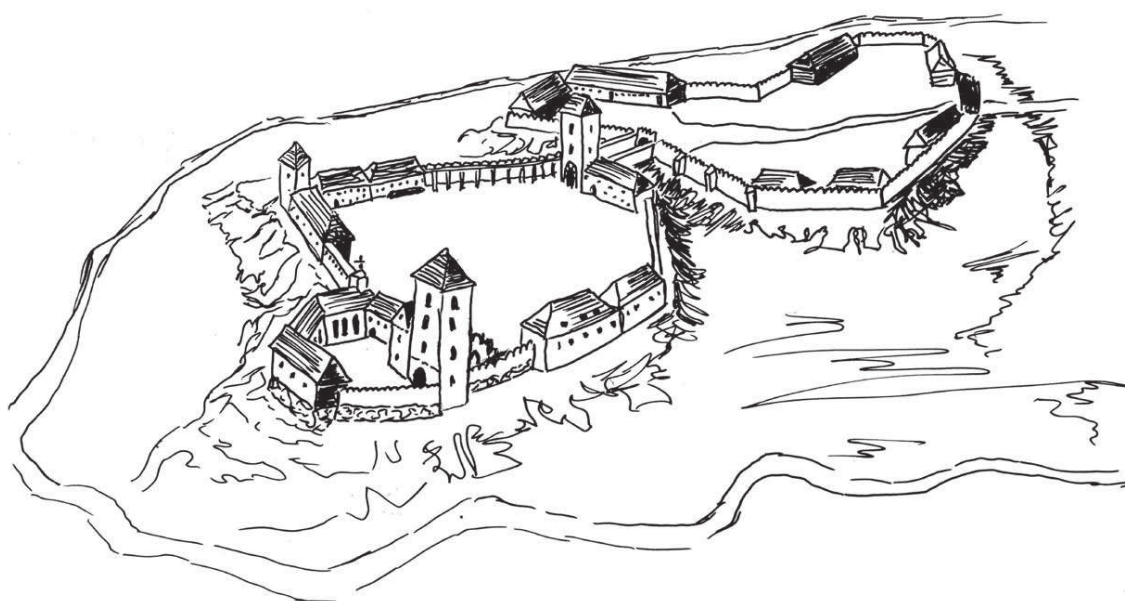




*A był zamek starostów pokrzywińskich krzyżackiej jeszcze budowy.*

W Niskim Zamku także spichrze, nadto obory i owczarnie, młyny, warsztaty i wozownie, a wszystko to kołem stało, od dziedzińca wjezdne, a od zewnątrz warowne, tak że tylko w przerwach między budynkami potrzebne były mury obronne. Prawda, tu i tam któryś z budynków stał ruiną, bez dachu, z gruzami w środku; wciąż grosza brakowało na pełną odbudowę, były pilniejsze wydatki, ale przecież żaden nieprzyjaciel nie zagrażał wdarciem się tamtędy do środka; tyle, że wyjść się przez owe ruiny nie dawało. Poza ten ceglany świat Magdusia nigdy jeszcze nosa nie wychyliła, i wyjeżdżając zeń, byłaby się może bała, choćby wielkich przestrzeni, choćby drzew wysokich; może by płakała za siostrami i za Agatą; ale wiozła ją ciotka, nigdy dotąd nie widziana,

a mimo to od pierwszej chwili serdecznie bliska. Dziewczynka nie wiedziała, że tej ciotce troje dzieci umarło wcześniej, ani jedno nie zostało, i że jej, Magdusi, obecność jest dla niej skarbem. Odczuła jednak od razu, że w jej ramionach jest u siebie. Nie, nigdy, nawet jej nie opowie o Radości – nigdy nikomu – ale to właśnie w domu ciotki zrozumie, Kim jest ta Radość.



*Kamienny świat dzieciństwa.*



## Grabowo

Pan Michał z Wólki (on sam wolał się zgodnie z nową modą nazywać „Wólkowskim”), chorąży pomorski, miał siostrę Elżbietę za Konarskim – oba senatorskiej tradycji rody; a będąc sam żonaty z Reginą z Mortąg, tym bardziej nie zapominał o swojej godności i tym bardziej się starał rozszerzyć obszar swojego Topólna. A miał granicę z Grabowem, wioską chełmińskich benedyktynek. Było tych benedyktynek około roku 1556 już tylko dwie w klasztorze, jedna stara, druga półprzytomna, i dawno nikt się z Chełmna o los Grabowa nie pytał, więc pan sąsiad „zaopiekował się” wioską jako niczyją, choć biskup Lubodzieski (krewny przełożonej) nie dawał zgody na taki zabór. Wólkowski czynsze i robociznę brał teraz z Grabowa jak swoje; nadto tuż przy granicy z Topólnem, ale już na klasztornej ziemi, zbudował sobie nowy dwór i tam się przeniósł mimo protestów żony, a stary topoleński dwór kazał rozebrać.

Kiedy żona wróciła z Pokrzywna z brataniczką-starościanką wziętą na wychowanie, pan Michał jeszcze wyraźniej poczuł swoją godność, choć po prawdzie nawet ta czteroletnia brataniczka musiała odczuć różnicę między pokrzywińskim zamkiem a grabowskim dworkiem. Tam się żyło jak w twierdzy, zza której murów najwyżej chmury można było





*Inwestowałeś Waszmość, sobie w niej dwór budując...*

zobaczyć, a przez okna i tego nie: grube gomółki szklane, ołowiem wiązane, pozwalały tylko wiedzieć, czy dzień jest, czy wieczór. Otworzyć ich nie było jak, ani nie było po co: wiatr i tak dął przez szpary, oddechu nie brakowało. Ogrodu w zamku nie było, a na łąki niankom z małymi dziećmi było za daleko. Tu natomiast mieszkało się jakoby w ogrodzie: ściany były drewniane, ledwo z zewnątrz pobielone, a okna bez szkła, z drewnianymi tylko okiennicami, które w dzień (poza czasem zimowym) stały otworem. A na zimę wstawiano ramy z grubymi błonami. Wybiec też poza dom można było z sieni: trzy stopnie z ganku i już się było na trawie, a wokół krzewy, i grzędę, i zioła, i te drzewka, śliwy podobno i jabłonki, które tam pan wujaszek zasadził, a które jesz-



cze nie owocują wprawdzie, ale wkrótce będą. I jedna stara wiśnia była, która tam rosła jeszcze przed stawianiem dworu i nie ścięto jej, bo wciąż owocowała: niechże dalej rodzi. I jaskółki były tuż nad oknami, i kury grzebały po grzędach, a za ogrodem był nie mur ceglany, ale płot z kołków, i widać było las, i pola, i wszystko. Ślicznie było, a najśliczniejsza ze wszystkiego była ciotka. Lepsza nawet niż dwie Agaty i niż cały zamek pokrzywiński.

Pan wujaszek też wielce był łaskawy dla Magdusi i niczego by jej nie żałował, nawet tych wiśni, których garść wzięła kiedyś z koszyka bez pytania; ale autorytetem dla niej była ciotka, i skoro chwilę później dziewczynka przypomniała sobie otrzymany nakaz, żeby nigdy w życiu nie brać niczego cudzego bez pozwolenia – wróciła odnieść wiśnie i ten swój grzech zapamiętała ze wstydem aż do końca życia. To ciotka uczyła i pacierzy, i obowiązków, i żadnej wątpliwości nie było, że uczy dobrze. Mała włóczyła się za nią całymi dniami: a to do kuchni, a to do obory, a to na ogrody... Pani Regina doglądała całego biegu gospodarstwa osobiście. A nie trzeba było koni zaprzęgać, wszystko było blisko. Sama nie wiedząc, kiedy, poznawała Magdusia wszelką domową robotę, i za przykładem ciotki przyłączała się do wszystkiego, czasem proszona, ale jeszcze częściej nieproszona. No bo co innego, kiedy pięcioletnia dziewczuszka pomaga na łące zrywać szczaw czy lebiodę, niechby i chrzan, choć go wyciągać trudno; a co innego, kiedy praczki stoją po kolana w strumyku, wybijając kijkami ług z bielizny, a mała pcha się tam z nimi, i tłucze, i tłucze, mokra po pas od dołu, a spocona jak ruda

mysz od góry. Tego w zamku starościńskim nie było, tam Hanusia chodziła już wprawdzie z panią ochmistrzynią rząd czynić, ale obie jeno palcem, ty rób to, a ty tamto; nie same do pracy razem ze sługami. A tu ciotka, choć Magdusi do cięższych robót nie wciągała, ale i nie zabraniała. Co zresztą miała z nią robić, skoro mała odpędzić się nie da, o lalki nie dba, a czytać nie ma kto jej uczyć? I po co? Pani Regina i sama czytać nie umiała, za to na gospodarstwie znała się jak nikt; wiedziała, co i jak musi być zrobione, i wiedziała, gdzie nakazać wystarczy, a gdzie i komu trzeba pomóc a pokazać. Niechże się tak na tym zna i Magdusia, nie zaszkodzi to i starościance. Przyszedł potem taki czas, że tego ciotka pożałowała, ale kto mógł przewidzieć?

Nadal oczywiście były problemy, i coraz więcej. Najróżniejsze. – Ciotusieńko, czy strumień zawsze płynie w jedną stronę, czy z powrotem także? A skąd się tyle wody bierze i gdzie się potem podziewa? Ciotusieńko, a jak Pan Bóg zamawia buty u szewca, to jedną parę czy trzy? Ciotusieńko, a dlaczego ja mam dwie nogi, a koń ma cztery?

Już wtedy umiała liczyć.

Konie zaprzęgało się w niedzielę, jadąc na Mszę świętą do Pruszcza, bo nie było jeszcze w Topólnie kościoła. We dworze zaś codziennie była rano i wieczór modlitwa wspólna, ale bez księdza. Pani ciotka, jak pracowita była za dwie, tak i pobożna za dwie; mnóstwo pieśni i litanii znała na pamięć, a pięknie też umiała opowiadać: o betlejemskiej stajence na przykład, albo i o różnych świętych. Tyle, że te opowieści wydłużały się zimą, a skracały latem, kiedy wieczory krótkie i mnóstwo pra-

cy poza domem. I tak samo te domowe nabożeństwa. W czeladnej odbywane, bo dwór nie miał żadnej kaplicy. A czeladna większa była nawet od głównej izby pańskiej; jakże: tam od jesieni do wiosny miała swoje miejsce pracy cała prawie żeńska służba i część męskiej. Tam stał warsztat tkacki, leżały kądziele, Jagna z Rutek miała pod oknem rozłożone swoje szybie, a jej brat Kuba – równie jak ona zmyślny do wszystkiego – trzymał tam rzemienie i sznury, z których zimą sporządzał rozmaite uprząże. Magdusi nie wolno było podchodzić do jego skrzyni, żeby się nie skaleczyła wielkim nożem do cięcia skóry. Ale lubiła bardzo i Jagnę, i Kubę. A Rutki to był przysiółek za Grabowem, tak samo jak ono należący do klasztoru i tak samo zagarnięty przez jegomości wujaszka. To już Magdusia rozumiała, bo wiecznie słyszała urywki sporów ciotki z wujem o ów zabór. Zanim jeszcze się dowiedziała, co to jest zakonnica, znała już z ich rozmów klasztor chełmiński i jego biedy.

– Mógłbyś jegomość płacić klasztorowi dzierżawne, skoro jego wioskę trzymasz. Byłoby jakoś uczciwiej... – martwiła się pani.

– A toć tego klasztoru już tak jak nie ma! – grzmiał pan chorąży. – Nie słyszałaś jejmość, że panna Lubodzieska zmarła? To z kim tam gadać? Z panną Plemięcką?

O pannie Plemięckiej już nawet Magdusia wiedziała, że ją rodzice dali niegdyś do klasztoru dlatego, że za żonę nikt by jej nie chciał: rozmówić się z nią było niepodobna, bełkotała coś tylko.

– Toć rządzi teraz panna Izbieńska...

– Przybłąda to, nie mniszka!

– Innego zakonu, prawda, ale tam Panu Bogu służy, i dwie panny ma ze sobą, tercjarki.

– Nieprawnie tam siedzą, a i wymrą niebawem, bo też stare, a nowicji żadnych nie mają. Ot kiedy i biskup ten umrze, a już mu blisko, następny może da mi prawo, bom też już i niemało w tę wieś inwestował; a tymczasem na mojej opiece ona nie straci. Sami nawet kmiotkowie są mi wdzięczni, że ich pod moją ręką nikt z panów sąsiadów nie skubie.

– Inwestowałeś waszmość, sobie w niej dwór budując.

– Ot, nie róbże mnie, żono, Herodem na sierotki, kiedy już i sierotek zabrakło!

Po czym zagadał o sianokosach, bo na nie właśnie przyszła pora, i tak się znowu temat odwłókł. Ale Magdusię to jakoś zainteresowało, nie wiedzieć, czemu. I spytała ciotkę wkrótce potem, co też by to było, klasztor; o jednym już wiedziała, że się w nim jej starsze siostry chowają, ale nic więcej. Dom jakiś? Pani Regina odchyliła się znad szytej właśnie koszuli.

– Dwór jest, i z kościołem tamże zaraz przy nim; dwór pańien, które męża nie mają, ale Panu Bogu służą. Wielce takie kocha Najświętsza Paniienka.

– To czemu ludzie takimi gardzą? – Magdusia miała już osiem lat, uszki czujne i główkę wielce dociekliwą.

– Bo im jeno ten świat w głowie. Dawniej nie gardzili, dawniej cieszyli się z córek mniszek, a dzisiaj ani słyszeć nie chcą. Ot i brat mój: Hanusię i Zosię dał pannom na wychowanie, ale tylko patrzeć, jak je nazad odbierze i za mąż wyda. Żadnej tam nie pozwoli zostać, choćby i chciała.

Magdusia odłożyła robótkę, złapała się oburącz za war-  
koczyki i wybiegła z izby. Coś domagało się ułożenia w gło-  
wie, a to najłatwiej było robić, biegając dookoła domu. Słu-  
żyć Bogu, to bardzo pięknie. Ale gdyby Hanusia czy Zosia  
chciały w klasztorze pozostać, musiałyby się woli ojcowskiej  
sprzeciwić. A to przecież grzech. Grzechu Pan Bóg nie po-  
chwala, i na pewno go nie kocha Najświętsza Panienska. Więc  
jak to jest z tą służbą Bożą?

No, może żadna nie zechce.

Magdusia wróciła do izby, ale wiedziała, że sprawa nadal  
domaga się wyjaśnienia.

A biskup Lubodzieski umarł rzeczywiście wkrótce potem;  
król Zygmunt August naznaczył na jego miejsce jegomości  
księdza Stanisława Żeliszawskiego, niegdyś swego sekreta-  
rza, a potem cystersów pelplińskich świeckiego opata, o któ-  
rym mawiano, że jego polemiczny animusz nawet w jego tu-  
szy się nie mieści. A i to było wiadomo, że choć nominalnie  
cysters, o rozkwit domów zakonnych starać się nie będzie, bo  
one są jego zdaniem tylko na to potrzebne, żeby królewscy  
sekretarze z ich majątków mieli dochody, zostając opatami.  
Znaczy, męskie domy zakonne; a żeńskie nawet i to nie. By-  
leby więc – rozważał pan Wólkowski – nowy biskup mógł  
się dowoli z luteranami spierać, a do tego mu okazji nie za-  
braknie, to o taki drobiazg, jak wioska panien chełmińskich,  
dbać nie będzie. I chociaż latem 1564 roku sejm parczewski  
przyjął do prawa polskiego uchwały soborowe, w tym i te,  
które nakazywały domy zakonne reformować i odnawiać –  
jasne było, że pośród spraw tak wielu biskup Żeliszawski na

pewno nie od tej sprawy zacznie reformę swej diecezji. Niech tylko sakrę otrzyma i do Lubawy zjedzie na mieszkanie; tam go pan chorąży planował nawiedzić i dla swojej sprawy pozyskać.

Sakra była w sierpniu; pojedzie się z końcem września.

Ale pani Regina wciąż jeszcze nie traciła nadziei, że męża od tej podróży odmówi. Postanowiła więc zabrać się do tego wedle praw kobiecej sztuki i najpierw dać mu na obiad ulubioną potrawę. Wiadomo: cielęcy studzieniec; a pani chorążyna szczególnie w przyrządzaniu studzieńca była biegła. Kazała więc zabić tegoroczne cielątko i przystąpiła własnoręcznie do roboty. Najpierw trzeba było oddzielić mięso nóżek od chrząstek i kości. Ciotka naostrzyła nóż, widząc przy okazji, że i Magdusia, już dziesięcioletnia, chwytła za swój ulubiony kozik. Więc wytłumaczyła jej starannie, na czym robota ma polegać, i podsunęła jej drugą gicz. Magdusia wbiła kozik, ale nie mogła go wyciągnąć, bo utkwiał w chrząstce. Szarpnęła więc mocniej... kozik skoczył w jej palcach do góry...

Jedna chwila. Silne światło – znane, jak dobrze znane! – i straszny ból.

Potem krzyk w całej kuchni, bieganina, szukanie w apteczce, głośnie modlitwy. Ten studzieniec nigdy nie powstał, cielę poszło wieczorem w całości na pieczyste, a pan chorąży wyjechał kilka dni później, z tą tylko modyfikacją swoich planów, że musi po drodze odnaleźć szwagra i wyznać mu prawdę: pod opieką najbliższych krewnych jego córka straciła prawe oko. Akurat miał to szczęście, że znalazł pana Mel-





*Postanowiła więc zabrać się do tego wedle praw kobiecej sztuki.*

chiora w domu w Pokrzywnie, i to świętującego otrzymaną właśnie nominację na urząd podkomorzego malborskiego. W Prusach Królewskich była to godność senatorska; i nowy podkomorzy, w domu pełnym gości i z kielichem starego tokaju w garści, nie mógł być krewniakowi krzywy, choćby ten i ze złą nowiną przyjechał. Jedyne, co ten krewniak zapamiętał z jego odpowiedzi i mógł potem powtórzyć żonie, było: – Pannie podkomorzance nie zabraknie dobrych partii, choćby i oka nie miała! Siadaj, bracie!

Potem było kilka dni, z których pan Michał nie pamiętał nic oprócz tokaju. A potem dalsza część podróży. Owszem, znalazł biskupa w Lubawie; owszem, mówił z nim o wiosce; zgody na piśmie nie przywiózł, bo tam jakieś prawne kruczki

bronią, ale biskup był mu rad, na kruczki tylko ręką machnął i mówił: – Biercież, miły panie chorąży, na prawo nie czekajcie, prawo się jakieś znajdzie, gdy posesja w garści – *beatus qui tenet!*

Więc powrócił szczęśliwy, a żona zanadto była wciąż jeszcze przejęta kalectwem Magdusi, żeby mieć głowę do grabowskiej sprawy. Rana, owszem, goiła się zdrowo, ból ustał, lewe oko nie wydawało się zagrożone, powieka na prawym zaciągnęła się na pusty oczodół tak ładnie, że wyglądała tylko na przymkniętą; ale zawsze to skaza na urodzie. Buzia, prawda, gładka. Wzrost zapowiada się słuszny. Pracowitość przykładowa, umysł niepospolity – ot, gdyby nie to oko, byłaby panna podkomorzanka przedmiotem podziwu i uwielbienia w całych Prusach Królewskich, i właśnie ta jedna nieszczęśliwa chwila... Pani Regina zabroniła Magdusi wstępu do kuchni, i ani zauważyła, że i sama odtąd rzadziej tam zachodzi, nie chcąc małej zostawiać samej. Tylko co odpowiedzieć, kiedy mała wreszcie zapyta, dochodząc przyczyn, jak to ona: dlaczego Bóg na nią dopuścił kalectwo?

Ale jakoś nie pytała. Milkliwa zrobiła się, rzekłbyś: wiadać, że sama ten czy inny jakiś problem rozważa i sama ze sobą dyskutuje. A naprawdę to nie było dyskutowanie, ale dziękczynienie. Kiedyś, już jako stara kobieta, kiedy pierwszy raz o tym zagada, powie, że tę utratę oka Pan Bóg jej światłem nagrodził, i to tak wielkim, że nic a nic oka nie żałowała. Wszystko się jednocześnie wyjaśniło i ułożyło sensownie. Światło przyszło tym razem z cierpieniem pod rękę, jak przedtem przychodziło z radością; ale przecież wiele razy



mówiła jej ciotka, że i ból i radość Bóg zsyła, od Niego pochodzą i do Niego prowadzą. A w takim razie i ta radość, która jej czasem dopadała i jakby wzywała do siebie, jest od Boga. Radość, wdzięczność, tęsknota – kiedyż, o Boże, będę mogła pójść na Twoje wezwanie? I dokąd? To już też było jasne: tam, gdzie żyją panny Bogu służące. Do klasztoru. Że ojciec nie pozwoli? A kto tu większy król: Bóg czy pan ojciec? Panie, jeśli mnie wołasz naprawdę, otworzysz mi drogę.

Panie, Twoja jestem i Tobie się ślubuję na zawsze. Ślubuję. Ślubuję.

Jeszcze dwa lata żyła w topoleńskim dworze, modląc się tymi słowami w radości, której nawet nie usiłowała z nikim podzielić, bo to nie była jej radość, ale Pana. Jej była tylko tęsknota. Aż wreszcie przyszła wiadomość od pana ojca, że czas jej wracać do Pokrzywna.



## Podkomorski dwór

Tę wiadomość przywiózł pan Wiecki, ojcowy dworzanin, specjalnie po nią przysłany. On też opowiadał, że i Hanusia, i Zosia wróciły właśnie ze Strzelna, i są już obie zaręczone. Cuda zaś bajął o obu kandydatkach, zwłaszcza o Hanusi-  
nym narzeczonym, wojowniku wstawionym i najbogatszym z pruskich panów, staroście lęborskim Erneście Wejherze. Luter to – mówił – i Niemiec, ale po polsku gada i ślub katolicki zgadza się wziąć; a choć od panny więcej niż ćwierć wieku starszy, przecie sławny i stateczny, ojcu jej przyjaciel szczerzy, a w dodatku dotąd nie żonaty, więc pasierbów żadnych nie będzie na utrapienie młodej żony. Panna Anna zachwycona, nadziękować się panu ojcu nie może... Raz już nawet narzeczonego widziała, przystojny się w jej oczach widział i grzeczny, i pewnie: królowi samemu dobrze znajomy, to i dworny być musi. A co do panny Magdaleny, pan podkomorzy nie wybrał jeszcze, ale ma na oku kandydatów kilku, jeno w trosce o szczęście córki sprawdzić chce, któremu jej kalectwo najmniej będzie przeszkadzało...

Magdusia słuchała milcząc, bo chciała jak najwięcej zrozumieć. Pani Regina, którą tak samo niegdyś za mąż wydała, nie pytając o jej własne zdanie, nie dziwiła się tu niczemu. Raczej właśnie zdumiała się, kiedy pan Wiecki, przeszedłszy

do narzeczonego panny Zofii, pana Adama Żalińskiego, podkomorzycy pomorskiego, rzekł mimochodem, że na dwa posagi w jednym roku nawet naszego pana nie stać, więc druga para młodych będzie musiała poczekać do następnej jesieni; a że pan Adam żadnego jeszcze urzędu nie sprawuje, będzie pewnie przez ten rok często bywał w Pokrzywnie. Ale nic to nie szkodzi, że się narzeczeni ze sobą lepiej zapoznają, a wedle nowego prawa nawet dobrze. – Jakiego prawa?! – On dobrze nie wie, ale słyszał, że według ustaw soborowych, które tu w Polsce na sejmie parczewskim przyjęto, ślub wszelki, czy człowiekowi, czy Bogu uczyniony, Kościół tylko wtedy za ważny uznaje, jeśli był dobrowolny. Tu zakrzyknął pan chorąży, że to być nie może: byłby to koniec wszelkiej rodzicielskiej władzy i domowego porządku.

– Jak to? To już rodzicom nie wolno córki za mąż dać, komu by się im dobre widziało, ani do klasztoru dać także nie? – Uśmiechnął się pan Wiecki i szepnął, że po pierwsze, to tylko do praw krajowych na razie przyjęto, a w Kościele tylko w metropolii lwowskiej; nasza gnieźnieńska jeszcze się nie wypowiedziała. A po drugie, to przecież do klasztoru nikt dobrze urodzony i tak córki dzisiaj nie da, co zaś do zameścia, to zgodę córki, w kościele przy świadkach zadeklarowaną, nie tak trudno uzyskać. Ot, panna Anna swoją na pewno wyrazi bez wahania, a co do panny Zofii, to też już widać, że jej kandydat przypadł do gustu: skromny i miły młodzieniec, a przy tym rodu senatorskiego, jak ona... Przykład piękny dla panny Magdaleny...



*A ja nie umrę, aż w tym klasztorze mniszką zostanę.*

Magdusia milczała nadal, ale myślała, że wie, gdzie szukać pomocy i sprzymierzeńca, kiedy przyjdzie sprzeciwić się woli ojcowskiej.

Kilka dni potem ruszyli w drogę. Było wczesne lato. Trudne było rozstanie z panią chorążyną – już też Magdusi do końca życia słowo „ciotka” będzie miłe – ale obie wiedziały, że tak być musi i zawsze musiało, każda dziewczyna wylatuje z domu rodzicielskiego jak ptak i mieszka odtąd w innym gnieździe. A dwunastolatka – wiadomo: już panna na wydaniu; chociaż przynajmniej dwa lata trzeba będzie poczekać, zanim jegomość pan podkomorzy dla trzeciej córki uzbiera stosowny posąg. Więc pani Regina widziała, że jej rola skończona; tylko jeszcze wyprawkę chciała jej dać, jak należy. A że dbała przez te lata o garderobę siostrzenicy, szy-

jąc coraz to nowe szatki na miarę jej wzrostu, więc nawet i tych najnowszych zebrała się duża skrzynia, którą wstawiono do brozka w miejsce przedniej ławki. Tylną zajęli podkomorzanka i pan Wiecki, ciotka ich przeżegnała, woźnica trzasnął z bata – i tak się skończyło dzieciństwo.

Panna Magdalena cieszyła oczy swojej eskorty. Postawna mimo lat zaledwie dwunastu, strojna też była wedle swego „zacnego” (to jest senatorskiego) stanu. Przynajmniej tak się pani ciotce mogło zdawać; pan Wiecki, w szerokim świecie bywały, dojrzał brak śladów mody hiszpańskiej czy włoskiej – które właśnie wielce były u pań polskich wzięte. Sam jej wprawdzie przywiózł w darze od ojca jako strój zwierzchni w podróży lekką mantę włoską fiołkowej barwy, ale pod tą mantą panna miała ciemnozieloną suknię polską z ramionami tylko, bez rękawów, w szeroki kwadrat wyciętą i noszoną na śnieżnej, z płócienka delikatnego uszytej koszuli. Tej koszuli szerokie rękawy zbiegały się nad dłonią w delikatnym marszczeniu, u szyi zaś kończyła się wąziutką kryzką. Włosy splecione były w dwa warkocze i przepasane paniąską toczenicą z białego atlasu ze złotym haftem. Pan Wiecki, jakby to jego własna wnuczka była, aż do przewozu pogrążony był w marzeniach o jak najwspanialszym zamążpójściu dla tego dziwnego dziecka, które go jeszcze o nic przez całą drogę nie zapytało, ale uśmiecha się do niego z takim spokojem i życzliwością.

A na przewozie marzenia prysły jak szkło stłuczone; albo może przynajmniej – popękały.

Łódź była duża, ale jednak trzeba było z brozku wysiąść i wtoczyć go osobno, a konie wprowadzić także osobno.

Zanim to wszystko ukończył przewoźnik z woźnicą, pan Wiecki z panią stanęli na dziobie i patrzyli przez rzekę na górę chełmińską. Pięć tam było śpiczastych wież i wyniosłych dachów; i tu panna Magdalena wreszcie zaczęła pytać. Ten pośrodku to co? Fara; a tamto dominikanie, ratusz, franciszkanie... Zaś ostatni na prawo? To panny. – Takie, co Bogu służą? – Tak jest.

– Wierz waszmość albo nie, a ja nie umrę, aż w tym klasztorze mniszką będę.

Zaperzył się stary dworzanin: – Niech ja prędzej złą śmiercią umrę, niż byś waćpanna, tak zacnego będąc rodu, mniszką być miała!

Wyjaśniła rzeczowo: – Będę, bom się Bogu poślubiła, i On mi to sprawi. – Postawiła więc od początku sprawę jasno, wiedząc oczywiście, że te słowa jeszcze tego samego wieczoru zostaną powtórzone ojcu. I były, ale pan podkomorzy na tydzień przed weselem miał za dużo na głowie, żeby się specjalnie przejść. – Głupie mrzonki – powiedział tylko. – Chorażyny to robota, głowę dając, ale w domu minie. Wybierz sobie ze łba, mała, a zajmij się do niedzieli czymś pożytecznym! – I prosto spod jego ręki Magdalena wpadła w objęcia obu sióstr, zajętych wprawdzie pilnie szyciem w gronie służebnic, ale rozgadanych jak dawniej. – Długo jechałaś? A zauważyłaś, że nawet na podzamczu chaty wyprzątają, żeby się gości służba pomieściła? A masz suknie inne do tańca? Co, tylko takie parafianstwo? Nic to, nic, Zosia już ze swoich pierwszych włoskich wyrasta; Kachna, rzuć ten spodnik, jutro go skończysz, a teraz przynieś te panny Zofii bordowe sukienki



i przymierz pannie Magdalenie! Tylko panią starą po drodze omijaj, bo ci da po gębie.

Tyle Hanusia, która tak się szarogęsiła w Pokrzywnie, jakby już była w Lęborku u męża, starościna całą gębą. Zosia co raz wpadała jej w mowę, ale jej w głowie byli najbardziej kandydaci do ręki najmłodszej siostry. Pan Kos ledwie by ci do ucha sięgał, zobaczysz; pan Loka postawny kawaler, ale mruk jakiś, a pan Działyński... Magdalenie już się w głowie kręciło, wymknęła się przy pierwszej okazji i zaraz trafiła na panią starą, to jest ochmistrzynię, Katarzynę; ta zaciągnęła ją ze sobą na inspekcję gościnnych pokoi w skrzydle bramnym, zalewając ją po drodze potokiem pytań i co chwila przerywając sama sobie jakimiś poleceniami wydawanymi służbie. Następnego rana zapowiadała się na cały dzień takąż gorączka i Magdalena znalazła sobie kącik nieco cichszy wśród dziewczek skrobiących rzepę. Potem była jeszcze u praczek, a wreszcie na dwa dni przed weselem, kiedy już nawet trzewiczki do tańca zdołano dla niej dobrać spośród Hanusinych (Zosi stópki były za małe) – trafiła do browaru i tam miał miejsce drugi już w jej życiu wypadek przy pracy. Poślizgnęła się w kałużę wody na obudowie wpuszczonego w ziemię paleniska i przewracając się do przodu trafiła rękami do kotła wrzątku. Panna Dorota Przepałkowska, uboga szlachcianka w służbie w Pokrzywnie będąca, przechodziła właśnie tuż obok, schwyciła ją za pasek i wyciągnęła natychmiast, ale ręce były tak poparzone, że trzeba je było po obłożeniu tłustymi maściami grubo w szmaty owinąć i nie zdejmować opatrunku aż za dwie niedziele. A tak na nic już były włoskie



suknie i zmyślne trzewiczki, kiedy z takimi dwiema kukłami zamiast rąk nawet na ślub do fary nie wypadało jechać, cóż dopiero stawać do tańca. Zresztą panienka leżała w gorączce.

Leżała i śmiała się. – A to mnie trzeba było, mówiła, najpierw tańca nauczyć, bom go nieświadoma; a tak, Anioł Stróż mój zadbał, żebym się na tym weselu nie zbłąźniła! – Ale pannie Dorocie (co jej nie odstępowała, nie dbając już o wesele) inaczej rzekła: – Com Panu mojemu obiecała, że się uciech światowych wyrzeknę, to mi On zatwierdził; już też odtąd wiem, że mnie naprawdę chce wśród sług swoich widzieć, niech będzie błogosławiony! – Odpowiedziała jej panna Dorota: – Weźże mnie waszmość ze sobą!

A tak było ich już dwie razem, czym się też Magdalena ogromnie cieszyła; i to u pani Katarzyny uprosiła, że jej pannę Dorotę do osobistej posługi dano. A tak mogły czasem swobodnie rozmawiać o tym, o czym obie sekretnie marzyły. Ale rzadko; bo po wyjeździe Hanusi Zosia ciągle szukała kompanii młodszej siostry i najchętniej by ją przy sobie miała od rana aż do wieczora. A widząc, że ta chętnie opowieści pobożnych słucha, czytała jej czasami coś z książki mistrza Opecia, zwanej *Żywot Pana Jezusa Krysta*; albo jakoś podobnie, bo tytułowej karty dawno ta książka nie miała, zaczytana przez pół wieku niemal w strzępy. Przyszło tam Magdalenie do głowy, że mogłaby i ją Zosia liter nauczyć; ale ledwie zaczęła, pokazało się, że pan ojciec komuś widać zlecił najmłodszą córkę śledzić, bo wezwał je obie do siebie i tej nauki surowo zabronił. I Zosia poddała się temu zakazowi.

DĄBROWA



HERB

MORTĘSKI



HERB

*Herb matki i ojca Magdaleny.*

Trudno to było, mając serce pełne tęsknoty, żyć tak, jakby się tylko o strojach myślało i o kawalerach; więc też Magdalena nie próbowała takiej obłudy, ale na wszystko, co ją miało tam prowadzić, gdzie iść nie chciała, mówiła jasno „nie”. Panów: Kosa, Loki, Działyńskiego i innych widzieć nie chciała, a jeśli jej zejść do sali bankietowej kazano, pilnie się

do nich obracała prawym okiem: niech sobie na jej kalectwo popatrzą. Dwa lata to trwało, w taniec iść nie chciała, ani na bankiety, choć jej z rozkazu ojcowego nawet ksiądz proboszcz Marcin posłuszeństwo zalecał. Zalecać mógł, ale przymuszać ani on nie miał prawa, ani ojciec, i to mu panna przypomniała; nie w smak było jegomości, więc jej tylko rzekł, że widać już koniec świata blisko, jeśli panny prawo umieją. I więcej z nią gadać nie chciał. Zawiódł więc oczekiwany sprzymierzeniec, ale Sprzymierzeniec niebieski nie zawiódł; tuż przed weselem Zosi Magdalena dostała ospy i trzeba ją było na folwark wysłać osobno. Ospa była tylko wietrzna, minęła bez śladu, ale wesele znowu panna opuściła i wielką z tego miała satysfakcję. Bo i kto tu większy król?

Wreszcie zostali oboje z Ludwikiem (który już z Wiednia wrócił) przy ojcu sami. Ludwika ojciec swatał z Działyńską, podkomorzanką chełmińską, stryjeczną jednego z kandydatów do ręki Magdaleny; i stanęła intercyza, ale że panna jeszcze i ośmiu lat nie miała, ślub się odwlekał, co też młodemu było na rękę. Ani go też ziębiło, ani grzało, czy młodsza siostra usłucha w końcu pana ojca, czy nie, byleby tylko mąż (albo klasztor) za dużego posagu nie żądał; dość mu było widzieć obie starsze siostry, ile bogactwa z domu wyniosły. Tymczasem ojciec z córką wojowali już na dobre, zupełnie nie rozumiejąc jedno drugiego. Pan podkomorzy zakładał, że przyrodzone życie rodzinne każdej panience musi się widzieć szczytem szczęścia; i szczerze rad by córce nieba przychylić, ale tylko takiego właśnie. Magdalena zakosztowała już innego, a chociaż to były okruszyny tylko, i chociaż

o nich opowiadać nie mogła – kogo by to przekonało! – przecie do dysputy stawiała jak ksiądz do kazania i z kościelnymi argumentami; takimi, co to zaprzeczyć im nijak, a przyjąć nie sposób. Po roku od wesela Zosi ojciec tyle przynajmniej zrozumiał, że na oporną czternastolatkę zupełnie nie działa dworski przepych i uciechy światowe. A Ludwik, jako że tych bankietów i *dobrych myśli* było mu już za dużo – toż koszty! – radził po cichu, żeby właśnie urządzić od nich post zupełny, niech się mała do nich wytęskni. Że zaś starościński dwór wечно był pełen kompanii, choćby i nie zapraszanej, wymyślili we dwóch, żeby panienka zamieszkała na czas jakiś w rodowych Mortęgach, pod dobrym dozorem oczywiście.



*Miało jej tam upłynąć równo dziesięć lat.*

I tak dano jej jakąś namiastkę własnego dworu, ochmi-strzynię i dwanaście panien (niech tylko wyjdzie za mąż, nie

taki dwór dostanie!), ale zarazem odgrodzono od wszelkich gości (jak post, to post) i osobliwie zakazano nauki czytania. Co tam miała robić? Pielęgnować rączki i nudzić się, im bardziej, tym lepiej.

Rok już był 1568. Miało jej tam upłynąć równo dziesięć lat.